UMER 1. DNIA 5-go STYCZNIA 1902 ROKU ROK X.

# TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

## Nieogłoszony urywek „Konrada Wallenroda“

JULIUSZA SŁOWACKIEGO *).

WALLENROD

*...To być nie może, w Pana Boga imię,*
*To być nie może, matko! Jestto człowiek*
*Który — jak z twarzy wydaje się — drzymie.*
*Jeden blask z moich czarnych, orlich powiek*
*Spaliłby go wnet, jak szkło w drzazgi spękał,*
*Gdybym się jego choć cokolwiek lękał*
*Dla Litwy...*

MATKA

*Jednak ja głupia, ja stara*
*Kobieta tylko, ach, ja to widzę*
*Czego wam w serce ludzkie dumna wiara*
*Wzbrania obaczyć, ach na tej łodydze*
*Rośnie dla Litwy blekot i szaleństwo.*

WALLENROD

*Daj mi twe błogosławieństwo*
*I ufaj w Bogu. Gdzie ty widzisz, matko,*
*Lwy hołdujące kotom, a wulkany*
*Gaszone błotem rynsztoków. Zagadką*
*Jest świat, lecz pewnie, że prawom poddany*
*Sprawiedliwości Bożej. Idź do domu.*

MATKA

*Zawsze ty wierzył lada komu*
*I zawsze cię ktoś prowadził za uszy*
*Twej szlachetności. Twa czysta natura*
*Od podejrzeń się własnych tak broniła*
*Jak od robactwa. Lecz ta Litwa zgniła*
*I ten Jagiełło, podobny do szczura*
*W spruchniałym ulu, w którym, kiedy cicho*
*Na świecie, słychać jego ząb gryzący,*
*A kiedy burza i huk, to on spiący*
*Zda się i martwy głupstwem albo pychą*
*Nadęty niby Bogiem zachłyśniony,*
*Zawracający oczy tak, że świecą*
*Białka i powiek obrąbek czerwony*
*Tasiemką ognia, pod mózgiem. Walterze!*
*Jam go tą duszą kobiecą*
*Na wskróś jak nożem przebiła. Nie wierzę*
*W czystość człowieka tego, ni pokorę.*

WALLENROD

*Cóż matko? Z sobą w tłómoczku zabiorę*
*Twe podejrzenie, a jak czas pozwoli*
*To je odczytam.*

**) Występujący tu na arenie bohater Mickiewiczowskiego poematu, Wallenrod, naturalny syn Kiejstuta, zdrajca ojczyzny, jest komturem i ma być obrany mistrzem zakonu Krzyżaków. Z sercem, „jak wosk miękkiem, a jak wicher szalonem“, wsparty silnem ramieniem Halbana, starego guślarza, ukrywającego się pod habitem mnicha św. Franciszka, zdobywa się Wallenrod na [illegible] wielki, heroiczny: poświęca na ołtarzu ojczyzny sławę, rodzinę, własne szczęście i życie najdroższych osób, aby ocalić Litwę od największego wroga i od bratobójczych walk Jagiełły z Kiejstutem. Idąc na czarną, niechybną śmierć, żegna się z matką, pełniącą obowiązki ksieni klasztoru Krzyżaków. Radaby go ona od grożącego nieszczęścia powstrzymać, przestrzega więc przedewszystkiem przed obłudą księcia litewskiego Jagiełły, a gdy prośby jej ani przestrogi nie odnoszą skutku, to-*

MATKA

*O jak serce boli,*
*Gdy się otworzy przed człowiekiem, jako*
*Przed Bogiem, a on — ot, weźmie garść piasku*
*I sypnie w usta krwawe...*

WALLENROD

*Lasy w brzasku —*
*Muszę odjeżdżać!*

MATKA

*Pamiętaj wszelako,*
*Że ja zostałam tu biedna i sama;*
*Ja, twoja matka, część twojego ciała —*
*Matka — pamiętaj o tem, bo to cała*
*Moja nadzieja — ty...*

# Zadanie bibljotek naszych.

Przed 40-tu laty znany ekonomista polski, Supiński uskarżał się, że we Lwowie nie można korzystać z ekonomicznej literatury zachodu. Nie ulega wątpliwości, że ekonomiczne prace Supińskiego byłyby bardziej cenne i udałoby się mu było więcej zrobić dla polskiej nauki ekonomicznej, gdyby się był mógł oprzeć na całokształcie wiedzy ekonomicznej swojego czasu. Tylko to może być dzisiaj trwałym gmachem naukowym, co się wysnuwa nie wyłącznie z umysłu piszącego, lecz opiera się na wszystkiem, co w danej dziedzinie zrobiono.

Dziś pracujący we Lwowie badacz dziedziny ekonomji politycznej ze względu na materjał naukowy, z jakiego może korzystać znajduje się w warunkach znacznie lepszych, niż za czasów Supińskiego. Warunki te jednak, jakkolwiek niezrównanie lepsze, niż te, jakie posiadają ekonomiści nasi w Warszawie, nie dorównywają warunkom uniwersyteckich miast Europy zachodniej a zarazem nie odpowiadają naszym narodowym potrzebom.

Międzynarodowa walka ekonomiczna jest głównym przejawem i osią międzynarodowej walki o byt. Jednym z ważniejszych czynników tej wal[illegible] jest ekonomiczna świadomość danego społecze[illegible]stwa, t. j. świadomość warunków jego rozwo[illegible] ekonomicznego, wszystkich wpływów na ten ro[illegible]wój oddziałujących, znajomość terenu międzyn[illegible]rodowej walki ekonomicznej, a więc tego, co s[illegible] dzieje po za granicami naszego kraju i oddzi[illegible]ływa na nasz byt ekonomiczny. Liczne pism[illegible] fachowe ekonomiczne, olbrzymi zastęp ludzi o[illegible]dających się studjom ekonomicznym, zjazdy ek[illegible]nomistów i przemysłowców, liczne organizac[illegible] ekonomiczne — oto czynniki, które zapewnia[illegible] współczesnym Niemcom zwycięstwo w międzyn[illegible]rodowej walce ekonomicznej. Przy każdym un[illegible]wersytecie niemieckim istnieje seminarjum ekon[illegible]miczne wraz z bibljoteką podręczną, obejmując[illegible] encyklopedje ekonomiczne, różne wydawnictwa urzędowe statystyczne, podręczniki ekonomji i finansów, czasopisma ekonomiczne etc. Każdy sem[illegible]narzysta ma klucz od seminarjum i może tam od 8-ej z rana do 8-ej wieczorem pracować na miejscu w seminarjum. Do seminarjum zapisują się nietylko słuchacze uniwersytetu, lecz i osoby postronne, zajęte pracami ekonomicznemi. Opró[illegible]

*warzyszyć zaś synowi w tej niebezpiecznej godzinie nie może, daje mu na drogę błogosławieństwo matki. Urywek owej sceny pożegnalnej, po raz pierwszy ogłoszony obecnie w „Tygodniu", zapisany w czerwonym raptularzyku Juljusza, bez podania tytułu i wymienienia osób, a znajdujący się między rękopisami bibljoteki Ossolińskich, uzupełnia fragmentaryczny dramat Słowackiego pośmiertnego wydania p. n. „Walter Stadjon". Mimo najbliższego z nim sąsiedztwa uszedł on uwagi wydawc[illegible], który, złudzony nieco odmienną formą wiersza, oderw[illegible] go od fragmentu, ogłoszonego p. t. „Walenrod". Prz[illegible]wracając mu właściwe miejsce, drukujemy dla łatwi[illegible]szego zorjentowania się początek „Waltera Stadjon[illegible]" jako koniec nieogłoszonego urywku, który tu przytacza[illegible]*

*Henryk Biegeleise[illegible]*

bibljotek seminaryjnych różne związki i kluby ekonomistów posiadają bibljoteki podręczne, dogodne do korzystania na miejscu. W wielu też bibljotekach publicznych urządzone są obszerne bibljoteki podręczne. Bibljoteka podręczna Britisch Muzeum zawiera kilkanaście tysięcy dzieł, w królewskiej bibljotece w Berlinie oddział podręczny bibljoteki jest bardzo bogaty, a każdy mający wstęp do bibljoteki korzysta z jej książek bez pośrednictwa służącego.

W bibljotekach podręcznych pracuje się tak dobrze, jakby we własnym bogatym księgozbiorze. Piszący te słowa z własnego doświadczenia wie, że każdą pracę ekonomiczną w daleko mniejszym przeciągu czasu z większą dokładnością można wykonać w Wiedniu, Berlinie lub nawet Heidelbergu, niż we Lwowie, wskutek tego, że tam można mieć podręczną bibljotekę, przepatrzeć encyklopedje ekonomiczne, znaleść bibljograficzne wskazówki i w każdej chwili z nich korzystać, podczas gdy we Lwowie, niemało czasu przechodzi od napisania kartki na książkę do jej otrzymania, lub dowiedzenia się, że jest wypożyczoną. O przepatrzeniu szeregu roczników ekonomicznych i pism nie może być i mowy, gdyż trzeba byłoby je ściągać przez szereg zamówień. Lwowska bibljoteka uniwersytecka jest w związku z innemi bibljotekami Austrji, każde niemal dzieło niemieckie można po upływie pewnego czasu w niej otrzymać, sprowadzone z innych bibljotek, ale w pracy naukowej odgrywa olbrzymią rolę nietylko to, żeby po jakimś czasie skorzystać z danej książki, ale żeby ją mieć w odpowiednim czasie. Lwowska bibljoteka uniwersytecka jest stanowczo zbyt biedna, tak co do ilości książek, jak i co do personalu bibljotecznego, ale najgłówniejszą jej potrzebą jest stworzenie oddzielnej podręcznej bibljoteki, mieszczącej się w sali bibljotecznej i umożliwienie członkom seminarjów ekonomicznych korzystania w każdej chwili z bibljotek seminaryjnych przez urządzenie odpowiednich sal seminaryjnych.

Potrzebie tej zadosyć się uczyni, gdy będzie wybudowana nowa bibljoteka uniwersytecka. Będzie to znaczne plus w naszych warunkach, ale jeszcze nie odpowie to całkiem naszym potrzebom. Bibljoteka im. Ossolińskich musi przyczynić się do rozniecenia naszej świadomości ekonomicznej, do stworzenia naszej nauki ekonomicznej przez zgromadzenie potrzebnych na to materjałów. Bibljoteka uniwersytecka musi mieć, jako jedno z głównych swoich zadań zaznajomienie nas z wiedzą ekonomiczną zachodu, bibljoteka im. Ossolińskich winna dostarczyć nam materjału do budowy nauki ekonomicznej, z naszych potrzeb wysnutej, na faktach, charakteryzujących nasz rozwój ekonomiczny porozbiorowej doby opartej. Nasz rozwój ekonomiczny szedł drogą odrębną w każdym z trzech zaborów, znajdując się pod wpływem prawodawstwa, polityki finansowej, agrarnej i przemysłowej każdego z państw zaborczych. Dla poznania więc naszego rozwoju ekonomicznego winniśmy wytworzyć dokładny obraz naszych stosunków ekonomicznych w epoce rozbiorów, poznać historję prawodawstwa, polityki finansowej, agrarnej i przemysłowej każdego z państw zaborczych, ich siły wytwórcze i kulturalne. Stanowi to olbrzymią literaturę, którą udostępnić dla nas jest obowiązkiem Zakładu narodowego im. Ossolińskich. Oprócz tego należy zbierać wszelkie materjały bezpośrednio nasz kraj dotyczące, a więc: wydawnictwa biur statystycznych, tzw. pamiątkowe księgi gubernjalne, wydawane w Rosji, wydawnictwa ministerjum skarbu, dóbr państwa, departamentu celnego, komitetu giełdowego warszawskiego i łódzkiego, sprawozdania izb handlowych, galicyjskich, pruskich i austrjackich i wydawnictwa towarzystw rolniczych na ziemi dawnej Polski istniejących i t. p. Muzeum Ossolińskich winno nie tylko zadowalniać się przyjmowaniem nadsyłanych mu różnych druków i rękopisów, odnoszących się do rozwoju naszych stosunków ekonomicznych, ale dawać inicjatywę, podając do publicznej wiadomości, że zbiera stare rachunki, cenniki, spisy inwentarzy i t. p. materjał, winno korespondować z różnemi instytucjami, prosić je o nadsyłanie druków. Zarząd bibljoteki Ossolińskich powinien wszystkie współczesne wydawnictwa statystyczne, dotyczące ziem polskich i państw zaborczych oraz klasyczne dzieła o stosunkach ekonomicznych Polski i państwowych wyodrębnić jako bibljotekę podręczną i umieścić ją w osobnym pokoju, jako w pracowni ekonomicznej. Tam winny znajdować się pisma ekonomiczne, słowniki i bibljografje ekonomiczne. Taka pracownia ekonomiczna musi być otwartą przez jakie 10 godzin na dobę.

Znaczną ilość wskazanych wyżej wydawnictw urzędowych, odnoszących się do naszych ekono-

micznych warunków, można mieć za darmo; należy o nie tylko poprosić. Oprawa, kupno książek, utrzymanie pracowni ekonomicznej, opłata specjalnego funkcjonarjusza do działu ekonomicznego, wszystko to razem mogło by wynosić kilka tysięcy złr. Suma to niewielka w porównaniu z temi olbrzymiemi bezpośredniemi korzyściami, jakie będziemy mogli osiągnąć przez wzrost znajomości stosunków ekonomicznych dzielnic naszych. Ta znajomość jest nieodzownym warunkiem rozwinięcia się stosunków handlowych między temi dzielnicami i korzystnej zmiany życia ekonomicznego w ziemiach polskich. W sprawie tej jest zainteresowaną Galicja, a więc Sejm musi przyjść tu z pomocą; w sprawie tej jest zainteresowany Lwów, bo zbiór materjałów do rozwoju stosunków ekonomicznych w ziemiach Polskich w ciągu ostatnich lat stu kilkudziesięciu byłby unikatem w całej Polsce i nasi uczeni i ekonomiści specjalnie przyjeżdżaliby do Lwowa, by korzystać z tego księgozbioru. Gdyby ta instytucja nabrała rozgłosu za kordonem, szły by na nią ofiary w pieniądzach i materjałach ekonomicznych. Bezwarunkowo, nie dawali by ci, którzy przegrywają krwawicę polskiego chłopa i robotnika za granicą, ale ci, co pracują dla naszego odrodzenia ekonomicznego i narodowego.

*Wl. Studnicki.*



# SKOWRONEK.

Z „LEGEND“ Andrzeja Niemojewskiego, ozdobionych przez Stanisława Dębickiego.



Z pól ryżowych wyfrunęła szara ptaszyna i ćwierkając niekiedy, bujała w powietrzu blizko ziemi, wznosząc się i opadając naprzemian. Skrzydełka jej drżały, wzbudzając fale w przejrzystym przestworze. Słońce jaśniało na niebie, minąwszy wyżynę południa. Błękit był czysty, bez chmurki, bez jednej plamki mgły. W dole rozchodziły się wonie. Ptaszyna zatoczyła kilka kręgów, milkła, ćwierkała i znowu milkła. Duszno jej było jeszcze przy ziemi.

Kilkakrotnie rozpostarła skrzydełka, szybując kołem, nagle wywinęła dziób w górę i strzeliła pod niebo.

Śpiew radosny dobył się z jej piersi pierzastej. Rozległo się urywane dzwonienie. Ale jeszcze głos jej nie zabrzmiał całą pełnią. Znowu zawisła w powietrzu na rozpostartych skrzydełkach i przymilkła.

Cisza była dokoła; głosy ziemi ginęły w dole. Nagle ptaszyna poczęła trzepotać skrzydełkami i unosić się po linji prostej do góry. Wtedy z piersi jej dobył się śpiew, któremu równego niema natura.

Śpiew ten rósł w miarę tego, jak się ptaszyna wzbijała nad ziemię. A już z dołu najlżejszy szmer nie dochodził, w górze zaś były same błękity.

Ptaszyna znowu rozpostarła skrzydełka, zawisła w powietrzu i przymilkła. Słońce gorzało na niebie jak ogromna plama światłości, rozlewającej się na modrość sklepienia i roztapiającej go swym żarem.

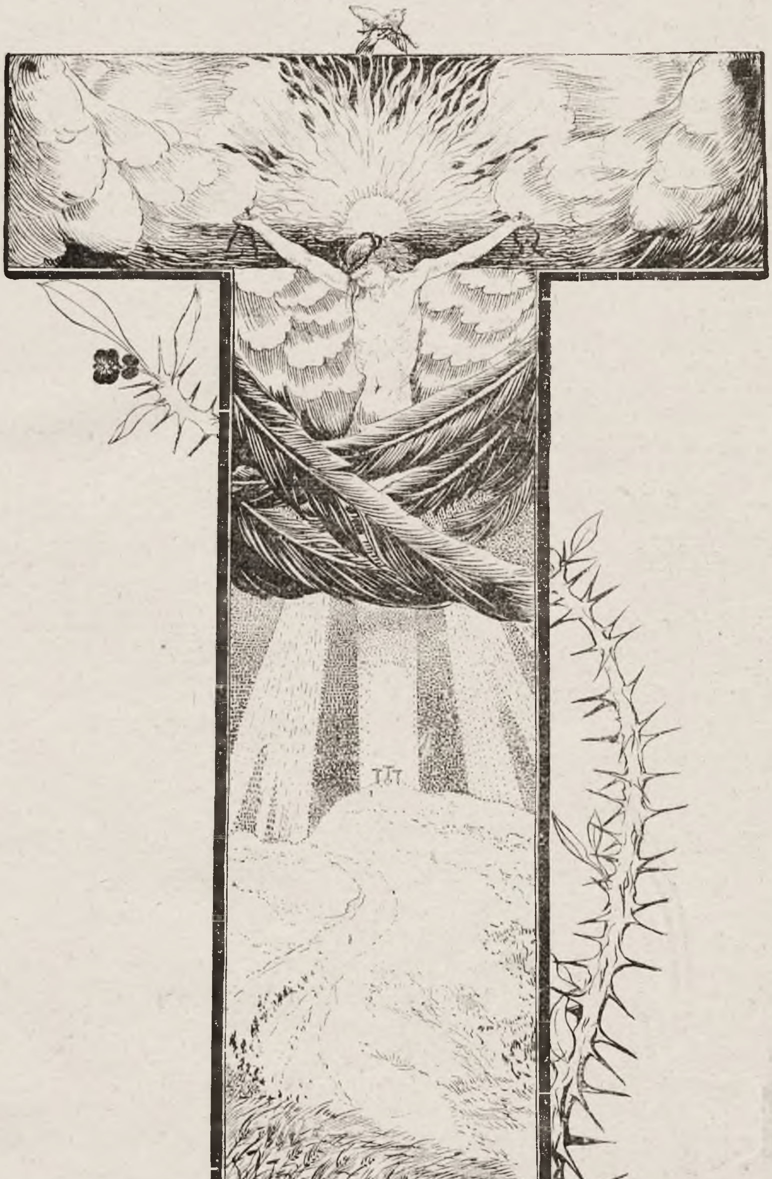
Ptaszyna poczęła znowu bić skrzydełkami w powietrze i wzbijać się prostopadle w górę. Z piersi jej dobywało się zawodzenie, śpiew, zachwyt, uniesienie. Dla oczu ziemian znikła już zupełnie i ludzie słyszeli tylko ów dziwny, piękny, tajemniczy i tak za serce chwytający hymn tuż pod sklepieniem niebios.

Teraz ptaszyna była u szczytu swego wzlotu. Uniosła dziób w górę, rozpostarła skrzydełka i patrząc w niebo, dzwoniła swym głosikiem pieśń przestworom i Temu, który je nakrył błękitami, a po tych błękitach przesuwa słońce, księżyc i gwiazdy. Dzwoniło ptaszę pieśń tryumfalną, śpiewało natchnione, zachwycone, drżące z uniesienia. Raz jeszcze spróbowało wzbić się wyżej, aby zanucić głośniej i resztę duszy w śpiew ten włożyć.

Ale na jej źrenice padła mgła omdlenia. Zaczynało brakować jej oddechu. Jeszcze ptaszę dzwoniło jak milknący srebrny dzwoneczek.

Cisza ogromna panowała w górze i w dole. Nagle ptaszyna umilkła i poczęła się słaniać ku ziemi. Ogarnęła ją trwoga, bo na brzegu płomiennej tarczy słońca ukazała się czarna plama.

Ptaszyna zachwiała się, zatrzepotała skrzydełkami, już nie mogła się utrzymać na wysokościach.



Tymczasem przez powietrze poczęły padać smugi pomarańczowe, potem niebieskawe, wreszcie fioletowe. Ptaszyna obróciła raz jeszcze spojrzenie na słońce. Owa czarna plama znacznie urosła i pokrywała już dużą część tarczy świetlnej, która poczęła rudzieć. Jękliwe świerkanie dobyło się z piersi ptaszyny, zaczęła opadać ku ziemi jak rzucony w głąb powietrzną kamień. Owiał ją wir, orzeźwił nieco; roztoczyła skrzydełka i zatrzymała się na czas jakiś, zataczając kręgi.

Znowu spojrzała ku słońcu. Ogarnął ją lęk i poczęła drżeć. Albowiem czarna plama rozszerzyła się i po chwili, niby czarny krążek, pokryła całe słońce; tylko grzywa promieni krwawo dygotała około tego czarnego krążka.

Ptaszyna straciła siłę w skrzydełkach, opadała ku ziemi w milczeniu, półprzytomna, drżąca, spotniała. I spadała długo, długo, aż uderzywszy o gęstsze fale powietrza, które wznosiły się nad ziemią, oparła się o nie skrzydełkami i sposobiła się do zlotu w dół. Obróciła tedy oczy ku ziemi i patrzyła między wzgórza, doliny, drzewa i strumienie.

Wtedy przedstawił się jej dziwny widok.

Pod nią widniała w ciemnościach łysa góra, na której roiło się mrowie ludzkie. Niesłychana wrzawa biła w górę. Ptaszyna lękała się sfrunać

tam, aby kto na nią kamieniem nie rzucił i nie pojmał. Ale nagle rojowisko to poczęło się ruszać i zbiegać z góry. Wnet też już tylko kilka ludzkich punkcików widniało w dole.

Ptaszyna sfrunęła niżej i znowu spojrzała.

Wtedy oczom jej przedstawił się widok następujący:

Na szczycie łysej góry były rozpięte na bielejących słupach trzy ludzkie postacie. U stóp środkowego klęczało kilka niewiast, dwóch mężów i stał wojownik z włócznią. Zapatrzeni byli całkiem w postać wiszącą w pośrodku.

Ptaszyna sfrunęła jeszcze niżej i popatrzyła znowu.

Człowiek rozpięty na środkowym słupie wzniósł twarz w górę. Twarz ta była blada, pokryta połyskliwym potem i kroplami krwi, które ściekały przez oczy; rozchyliła posiniałe usta; na czole widniał cierniowy wieniec, którego kolce wpijały się głęboko, raniąc i krwawiąc głowę umęczoną. Twarz ta skierowała w niebo tak rozdzierające spojrzenie, że ptaszyna zadrżała i poczęła opadać niżej.

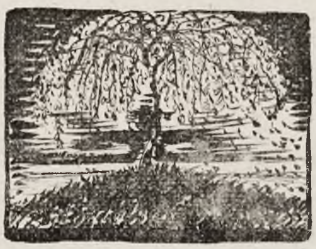
Chwiała się już bliziutko nad głową męczonego. Uczuwała strach, ból, żal; serce jej biło gwałtownie. Ujrzała włócznię żołnierza i chciała już w dal odfrunąć. Ale w tej chwili spojrzenie jej padło znowu na tę twarz tak okropnie udręczoną. Więc poczęła żałośnie kwilić, zatrzepotała skrzydełkami, zawisła nad głową cierniem kaleczoną i schyliwszy dziób do czoła zalanego krwią, poczęła wyrywać kolce, obskubywać ciernie i upuszczać je na ziemię, z ostatnią zaś gałązką w szponach wzbiła się nieco w górę, kwiląc żałośnie.

W tej chwili owa czarna plama poczęła zsuwać się z tarczy słonecznej i jasność powracała na przestwory. Ptaszyna wyfrunęła w górę, wzbijając się wyżej i wyżej. Nie obracała już oczu ku ziemi, ale bijąc skrzydełkami o fale powietrza, głosiła niebiosom jakąś skargę, jakieś oburzenie, jakiś nieutulony żal, niosąc im wiadomość tego, co się na ziemi działo.

Śpiew ptaszyny rósł i rozlegał się coraz wyżej. Już zaczynała niknąć dla oczu ziemian. Śpiew jej był tak przejmujący, że mimo odległości ludzie ze zdziwieniem oczy w górę unosili, a kiedy ptaszyna całkiem znikła, jeszcze patrzyli, słuchali i podziwiali.

Ptaszyna wzbijała się wyżej i wyżej. W szponach trzymała ostatnią gałązkę wieńca cierniowego, śpiewając żałośnie.

I rozeszła się legenda między ludźmi, że ptaszyna ta wzbiwszy się z oną gałązką cierniową w niebo, już nie wróciła na ziemię.



# Niektórzy przedstawiciele ideałów „pracy organicznej“, w powieści naszej z ostatniej ćwierci XIX. w.

I.

Po zawodach i klęskach 63 r. społeczeństwo nasze, wycieńczone fizycznie i znękane moralnie, poszukiwało instynktywnie dróg i sposobów, zapewniających mu powrót do sił utraconych, pozwalających istnieć w zmienionych, nad wyraz ciężkich, warunkach bytu....

Rozluźnione i osłabione społeczeństwo zaczęło wzdychać do pracy cichej, spokojnej, dającej rękojmię powetowania strat poniesionych, co więcej — zaopatrzenia organizmu społecznego w świeże zasoby energji i chęci życia.

Fizjologja społeczna wymagała wysiłków łagodnych, nie roztrząsających gwałtownie orga-

nizmem, pozwalających mu raczej na zaoszczędzanie sił niż na rozrzutne ich wydawanie...

Była to dążność jak najbardziej naturalna, jak najprawowitsza, a na wytchnienie, pewność jutra i możność gromadzenia zasobów życiowych, najbardziej zasługiwało społeczeństwo nasze, które poprzednio tyle sił wydało, przez tyle wstrząśnień wyczerpujących i wykolejeń przeszło.

Człowiekowi choremu, wyczerpanemu fizycznie i duchowo, należy się spokój i wypoczynek: tak samo społeczeństwu.

Usposobienia więc i dążności do pracy spokojnej i nieprzerywanej, do pracy utrwalającej byt, wetującej straty i hartującej siły, przez powolne ich ćwiczenie, — jakie objawiły się w społeczeństwie naszem po 63 r., tam wszędzie, gdzie występowały, jako reakcja naturalna, ostrzegająca organizm społeczny przed grożącem mu niebezpieczeństwem, należy uznać za objaw dobroczynny, konieczny.

Zarówno, tę naturalną postać tak zw. „pracy organicznej“, ten jej żywiołowy wyraz, należy przyjąć, jako rzecz dodatnią, historycznie dostatecznie uzasadnioną, fizjologicznie — niezbędną.

Ale tylko ten wyraz, a nie żaden inny, tylko tę elementarną „pracę organiczną“, nie zaś wszelkie jej teoretyczne, doktrynerskie postaci i programy, które powstały u nas, na powyższem, naturalnem podścielisku.

Programy bowiem, teorje i doktryny nadawały niezmienną wartość temu, co miało tylko wartość tymczasową, podnosiły do znaczenia dogmatu nieomylnego, to, co było wynikiem chwili, czemś zgodnem z jej potrzebami wyjątkowemi, nie zaś z szerszemi wymaganiami przyszłości.

Reakcja naturalna mówiła nam: odradzajcie organizm wyczerpany, wyzwalajcie wytrwale fizyczne i umysłowe zasoby kraju, pracujcie i zbierajcie materjalne dostatki, gdyż jesteście ubodzy, straciliście dużo, zmuszeni jesteście istnieć w niekorzystnych warunkach, musicie więc urządzić się w nich jaknajlepiej, by straty powetować i sobie przyszłość zapewnić.

Reakcja teoretyczna, wyrozumowana dodawała: będziecie napewno zbierali materjalne dostatki, potraficie z korzyścią pracować nad rozwojem duchowych i fizycznych sił społecznych, gdy z mózgów i serc waszych usuniecie ideje i skłonności wrogie interesom waszym, gdy przestaniecie marzyć o niezależności narodowej, egzaltować się pragnieniem wolności, gdy się pogodzicie z faktem dokonanym i, trzeźwo bez żadnych mrzonek i osłabiających tęsknot, zaczniecie zaspakajać najbliższe, bezpośrednie potrzeby wasze....

Po głębokich psychologach przyszli jeszcze głębsi politycy, i jęli wymownie dowodzić, że niedość jest zapomnieć na zawsze o „mrzonkach“ i „urojeniach“ smutnej przeszłości, lecz trzeba nadto dostroić się doskonale, do obcych nam form narzuconego bytu: to, co on nam daje, przyjmować z wdzięcznością, niczego więcej nie żądać, o wymaganiach i potrzebach swoich nie mówić, wszystko z poddaniem się znosić, gdyż tylko w ten sposób, będzie można jaknajpomyślniej zaspakajać, owe najbliższe, potrzeby własne.

Reakcja naturalna głosiła konieczność wypoczynku i skupiania sił, bez wyrzekania się ideałów politycznych, bez zapominania o prawach narodu, do niezależnego bytu. Reakcja doktrynerska — przyrzekała wypoczynek i dobrobyt, pod warunkiem wyrzeczenia się ich, zerwania zupełnego z tradycjami przeszłości, z programami Polski rewolucyjnej — w czynie, czy w idei, to wszystko jedno — słowem tej, która jedynie ma na celu wolność i niepodległość narodu.

Społeczeństwo unicestwione i zbolałe, nie mając na razie nic lepszego przed sobą, zgodziło się chętnie na tego rodzaju wywody teoretyków „pracy organicznej“ — zwłaszcza, że przyrzeczenia ich i obietnice nosiły charakter pewności, przedstawiały się pozytywnie.

Po kilkunastu wszakże latach podobnego dostrajania się i „możliwie najkorzystniejszego urządzania się w niekorzystnych warunkach“ — nie jeden doszedł do przekonania, że zakres „możliwości“, dających się wyzyskać na naszą korzyść, jest dość szczupły; że można doskonale zbierać materjalne dostatki, niezatracając dawniejszych skłonności do bytu niezależnego, nie wyzbywając się owych karygodnych „mrzonek“; że, w końcu, w warunkach na jakie się zgodziła — i to na wieczność — nawet dostatków owych nie można tak zbierać, jakby się nieraz chciało, słowem, że zbieranie ich odbywałoby się należycie, w warunkach wręcz przeciwnych i niezależności duchowej i swobody politycznej. Nie mam potrzeby wchodzić tu w poszczególne strony programu politycznego „pracy organicznej“, zarówno jak i rozprawiać się z tem wszystkiem, co jest w nim fałszywem, demoralizującem nasze życie naro-

dowe. Zaznaczam tylko to wszystko, gdyż stoi to w ścisłym związku z właściwym przedmiotem mojej pracy.

Program ten rozpowszechniał i utrwalał w duszy narodu, skłonności i usposobienia bardzo pożyteczne dla życia jednostek, mających na względzie własny dobrobyt materjalny, nie wyrabiał w nich wszakże żywszego poczucia obowiązków, w obec całego społeczeństwa. Owszem, sankcjonując natychmiastowe interesy jednostek, jako sprawę doniosłości społecznej, utożsamiał zabiegi i wysiłki osobiste, z celami i zyskami ogólnemi. Słowem, najbardziej grubym i poziomym interesom osobistym, dostarczał wygodnego wykrętu, przystrajał w pozory pracy obywatelskiej.

Następnie: ambicjom i energjom osobistym, zakreślał bardzo wąskie i sięgające najwyżej w głąb kieszeni własnej, szranki działalności. Odbierał chęć pracy nie dla zysku bezpośredniego, kazał poprzestawać na zaspakajaniu potrzeb najłatwiejszych do zaspokojenia, tłumiąc w jednostkach pragnienie ryzyka, dążność do zadość uczynienia potrzebom, trudnym do zadowolenia, w istniejących warunkach. To wszystko upośledzało duszę narodu, psychikę jego ubożyło, a nawet nie hartowało sił należycie, faktem jest bowiem, dostatecznie stwierdzonym przez psychologję, że kto poprzestaje na korzyściach łatwych do osiągnięcia, kto szuka tylko korzystnych warunków, ten zadowala się byle czem — i staje w miejscu.

Sięgając do sfery uczuć bardziej złożonych, — program ten wyrabiał między innemi i to fałszywe przeświadczenie, że można być szczęśliwym w domu, pomimo braku szczęścia w ojczyźnie, t. j., że można czuć się dobrze, w wązkich szrankach bytu osobistego, poczuwać się do pełni życia, nawet wśród nędznych, upośledzających warunków życia społeczno-narodowego. Hasła „pracy organicznej“ wszczepiły w duszę pokoleń, co przyszły po 63 r., uczucia małoduszności, ciasny utylitaryzm i pragnienie spokojnego używania dostatków materjalnych. (Pomijam wszelkie bałamuctwa polityczne). Dawniej wszystko to istniało w stanie bezwiednym, jako przyrodzona właściwość natury ludzkiej, obecnie — zaczęto na to rzucać światło rozumu, uzasadniać, uprawniać jako coś, co jest podyktowane koniecznością polityczną i obowiązkiem obywatelskim.

Zaroiło, się w społeczeństwie naszem od rozmaitego rodzaju zdobywców materji, od tych, którzy „odradzali“ kraj, wypełniając głównie własne kasy ogniotrwałe; od wszelkiego rodzaju sobków i filistrów, zaczynając od tych, co z pokorą „czynili we własnem kółku, co każe duch boży“, w mniemaniu, że „całość sama się złoży“, kończąc na tych, co po klubach, torach wyścigowych, salonach wzbogaconego Izraela i t. p. „winnicach pańskich“, pracowali „organicznie“, poszukując łatwych zysków i dużych posagów. W końcu, jako najwyższy tryumf zasady, przyszedł specjalny rodzaj filantropa, co przez cały „wiek męski“, rabował i wyzyskiwał społeczeństwo, a na schyłku dni swoich zapragnął zwrócić mu cząstkę dóbr zrabowanych, w postaci wysoce filantropijnych instytucji*). Nowe czasy, nowi ludzie, zmiany psychiki społecznej — wszystko to znajdowało swój wyraz w twórczości naszej i wcielało się w szereg postaci charakteryzujących rozmaite strony wysiłków i zabiegów „organicznych“. Nie o wszystkich mamy zamiar tu mówić — wybieramy najlepiej zarysowane najbardziej rodzime, najmniej pospolite.

II.

Możemy nieuwzględniać tu legionu t. zw. „pjonierów postępu“: — lekarzy, inżynierów itp. działaczy społecznych, pracowników „u podstaw“, których pełno w pierwszych utworach E. Orzeszkowej, Bałuckiego, M. Szeligi, Rogosza, nawet Zacharjasiewicza, Kraszewskiego i w. innych.

Byli to przedstawiciele budzącego się u nas pozytywizmu, deklamujący nieźle na temat trzeźwości myślenia, przewagi rozumu nad uczuciem, metody doświadczalnej nad wiarą etc., którzy w gruncie rzeczy nie przestawali być czułymi romantykami, nie mogącemi wyzwolić się z niewoli marzeń, idealnych wzlotów i bardzo naiwnych, pomimo pozorną trzeźwość, na świat poglądów. Postaci to, albo idylicznie — karykaturalne, albo szlachetne, które głoszą wprawdzie z zapałem hasła utylitaryzmu, poziomych wszakże i egoistycznych zamiarów „zdobywania dostatków“ — nie noszą w duszy.

---

*) To wszystko, wprawdzie, przypada na okres rozwoju wielkiego przemysłu w naszym kraju, na gruntowne zmiany stosunków rolnych, na przypływ obcych kapitałów i obcych współzawodniczących żywiołów itp., to jednak wzmacnia tylko oddziaływanie haseł „pracy organicznej“.

Podobnym do nich, z wielu względów jest i sławny Wokulski z „Lalki" B. Prusa, — pomimo, że p. Wł. M. Kozłowski, zalicza go do „pokolenia rekinów". Ten „rekin" ma bardzo tępe zęby i niedużą żarłoczność, jako typ jednak przełomowy, stojący jedną nogą w tradycjach marzycielsko-romantycznych, drugą zaś w programie „pracy organicznej", zasługuje na lepsze przyjrzenie mu się tembardziej, że stworzony został przez pisarza wielkiego talentu, zdającego sobie sprawę z dążeń i zwrotów, jakie w życiu ogółu naszego po 63 r. zachodziły.

Wokulski był jednym z uczestników ruchu 63 r., biernym wprawdzie, ale zawsze takim, który się dał porwać fali, Był szlachetnym, więc nie unikał niebezpieczeństwa, był pozytywnym przytem — więc zdawał sobie jasno sprawę z jałowości wysiłków powstaniowych, a doświadczywszy na własnej skórze skutków klęski ogólnej, wstawiony w warunki pomyślniejsze, zaczął wytrwale stawiać siebie samego na nogi i „odradzać" zarazem społeczeństwo. Byłby może doszedł spokojnie kresu dni swoich, jako stateczny kupiec — zasiadający co najwyżej w sądzie handlowym — nie wychodząc z zakresu sklepikarskich ambicji i ideałów, gdyby nie wypadek, który popchnął go na drogę bardziej śmiałych przedsięwzięć „organicznych" i działalności jego, nadał charakter doniosłej pracy obywatelskiej. Wokulski robi miljony, ryzykuje, stwarza wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe, rozwija zasoby ekonomiczne kraju — mówiąc stylem uświęconym — słowem zachowuje się, jak wielki działacz okresu „pracy organicznej", świadomy swoich celów; ale robi to wszystko nie jako przejęty obowiązkiem, wykonawca świętych ustaw programu organicznego, również nie jak chciwy zbieracz materjalnych dostatków, gromadzący je dla boskiej rozkoszy gromadzenia, namiętnie, gorączkowo i bezwzględnie, jak to robi np. zolowski „poeta miljona", Sacard z „L'Argent", lecz jak sentymentalny romantyk, zaprzątnięty urojeniem swojem, chimerą złudną, dla której urzeczywistnienia staje się ryzykownym przemysłowcem, człowiekiem pozytywnym, robiącym miljony. Dla Wokulskiego potęga materjalna nie jest celem, lecz środkiem jedynie, dla dopięcia celu romantycznego, wyznaczonego bezinteresownie w głębi duszy, spragnionej zaspokojenia swoich potrzeb uczuciowych.

Ten wzór „obywatela - przemysłowca", ten energiczny i trzeźwy czynnik postępu społecznego, jest w istocie tylko zropaczonym kochankiem, marzycielem namiętnym, który na kartkę swego ideału uczuciowego gotów postawić wszystko, nie troszcząc się wcale o dobro społeczne, o obowiązkowe wyzwalanie zasobów materyalnych kraju. Pozytywizm jego, to rzecz narzucona, przyjęta tymczasowo, to tylko środek najskuteczniejszy dla dopięcia celu wyższego, forma jego duszy, nie zaś jego substancja istotna. Gdyby nie te tęsknoty serca do lepszego życia uczuciowego, gdyby nie opętanie miłośne, możebyśmy na Wokulskim nie widzieli nawet tego zewnętrznego udrapowania utylitarnego.

Zdziera się ono doszczętnie, opada jak łachman nieużyteczny, gdy przychodzi ostateczny zawód uczuciowy; cel upragniony przestaje podniecać energję Wokulskiego, środek zatem, którym się posiłkuje dla dopięcia celu, — przestaje być dla niego sprawą żywotną, traci swoją wartość i traktowany jest obojętnie.

Trzeźwy, ścisły w rozumowaniu, praktyczny i rzutki Wokulski, nie ryzykujący — podług opinji świata — nic dla celów mglistych, niepewnych, idzie wówczas na krańce swoich marzycielsko-romantycznych usposobień, — nieokreślonym, nieuchwytnym fantazjom, poświęca środki swoje i siły materjalne (ideje Dr. Geista), w mglistych sferach niezbadanego, przeczuwanego szuka pokrzepienia i zapomnienia. Można byłoby się w tem dopatrzeć objawów, jakiejś innej „pozytywnej" żywotności — ale to do nas nie należy. W każdym razie, tu się kończą, prawdziwie organiczne dążenia i działania Wokulskiego.

Jest to natura rozdwojona, niecałkowita, w której głębi ścierają się zasady dwóch epok, zasady pracy organicznej i romantycznych uniesień, pierwsze — bardziej odpowiadające teoretycznym, logicznym wymaganiom i interesom, tego rodzaju natur, drugie — ich pragnieniom psychologicznym, nie obliczającym się ściśle. Jest to wytwór nowej epoki, w której właściwe jej hasła nie zostały należycie utwierdzone, stare zaś nie przestały tułać się w głębi dusz ludzkich. Wytwór niezbyt budujący, — ale niepozbawiony szlachetności.

(C. d. n.) *W. J. Gryf...*

# Zakopane we Lwowie.

W notatce z przed kilku tygodni, napisanej pod powyższym nagłówkiem w łamach „Tygodnia“, dałem obraz i omówienie wrót przedmieszczańskich na Łyczakowie, noszących na sobie odrębne piętno sztuki, które dotąd przywykliśmy za zakopiańskie uważać. Obecnie dzielę się z czytelnikami „Tygodnia“ dalszymi wybitnymi śladami „zakopiańszczyzny“, tym razem jednak wziętymi ze starego, zupełnie już mieszczańskiego Lwowa. Z poprzedniego artykułu wiadomo już, że domy przedmieszczańskie na Łyczakowie zachowały prawie do dzisiejszego dnia właściwe znamię zagród włościańskich. Zagrody te, zwrócone węższem czołem domostw ku ulicy, w miarę zbliżania się ku miastu, cisnęły się ku sobie, a nakoniec przemieniały się w szereg domów podcieniowych drewnianych, których liczne ślady nasze miasteczka polskie do dziś przechowały. Te drewniane podcienia do okół rynków i wdłuż ulic stanowiły wyłączną masową cechę grodów w Polsce. Z biegiem czasu częste pożary zmuszały do zastąpienia drzewa murowanką lub „kamienicą“.

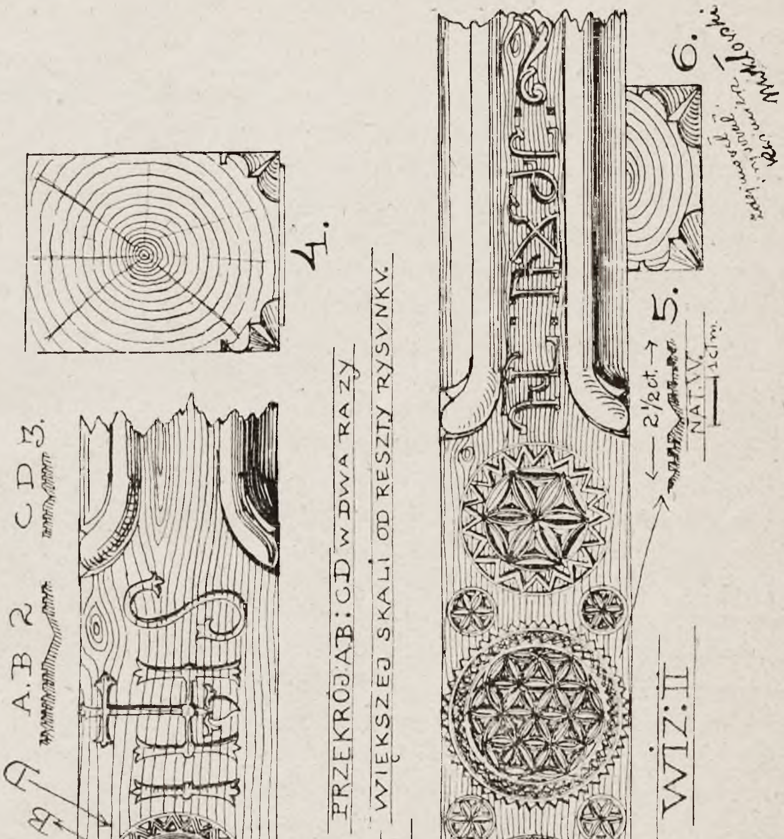
Właściwie kamienica dostawała jedynie zewnętrzną koszulkę ogniotrwałą, która wychodząc po nad dach i kończąc się koronką, dała początek słynnym atykom renesansu polskiego. Natomiast sklepieniem okrywał się co najwyżej parter wraz z piwnicami. Wyższe piętra belkowano tak jak to do dziś się dzieje, różnica była w tem, że kiedy dziś sufit pokrywa się warstwą, na podsiębitce i trzcinie umocnionej wyprawy, wówczas tak, jak w izbie zakopiańskiej i w mieszczańskich domach sufit, cały swój układ belek na zewnątrz odsłaniał. Nawet i ściany, jak to pokazują rysunki z 15-go wieku, z kodeksu Bema w bibljotece Jagiellońskiej, były nie wyprawione, ale w surowej zostawione cegle, zapewne polewanej, co dało początek kaflom. Kolorowe małe szyby, w ołów oprawne, stanowiły ozdobę okien. Piec kaflowy jakiego piękne przykłady mamy do dziś w starych domach lwowskich i w muzeum przemysłowem w ratuszu, dopełniał reszty. Stoły i stołki wiele miały podobieństwa z tem, co nam Matlakowski w dziele swojem z Podhala przekazał. Stół w izbie krawieckiej z kodeksu Bema i z Kroniki świata Bielskiego, konstrukcyjnie zbliża się do tego typu, jaki również po starych zakrystjach w Opatowie i Lublinie śp. Gersonowi i Maszyńskiemu udało się odnaleźć. Przy piecu kaflowym bywał często jeszcze osobny kominek. — Drzwi miały również swój szczególny odmienny typ, którym jednak w opisie i w rysunku podzielę się innym razem. Szczególną uwagę poświęcono szczątkowi dawnej drewnianej izby w kamienicy, stropowi drewnianemu. Składał się on z szeregu belek równoległych, podpartych w środku grubą belką, która po niemiecku mieni się *schlusstram*, co przeszło na polskie na dołach „siestrzan“, a górskie „sosręb“. Często nazywała zaś się w dworach szlacheckich wprost b e l k ą, i odgrywała w przysłowiach i przesądach doniosłą rolę. — Komu się nie wiodło w kartach, ten na pewno siedział „pod belką“. Gość strzegł się, żeby nie usiąść pod tą koronującą izbę częścią składową stropu. Sosręb, dźwigając na sobie niejako cały układ sufitu, a często tworząc sobą i więźbę ścian przeciwległych, żelazem na zewnątrz utwierdzoną (ankrę), stanowił jednocześnie moc, ale i najniebezpieczniejszy punkt izby. Dlatego to nie było dobrze „siedzieć pod belką“. Sosręby więc zdobiono szczególniej na tem najwięcej na złamanie narażonem miejscu, jakiem był środek jego. Profil, wyrażający się w dolnem ścinaniu kantów, ustawał w tej okolicy, by nie osłabiać bierwiona. Sześciopromienna gwiazda, z początku osadzona w miejscu, pod którem kiedyś mieściło się ognisko na środku izby, będącej niegdyś jednocześnie i chatą całą, była zapewne znamieniem obrazowem słońca, a więc światła i ciepła. W chrześcijańskich czasach dostojne to miejsce ustępowano krzyżowi lub monogramowi Pana Jezusa lub Marji Panny. Również data zbudowania domu i nazwisko właściciela mieściło się wyrżnięte w drzewie. Takim jest sosręb w izbie chłopskiej górala, w komnacie szlacheckiej i takim go widzimy w izbicy mieszczanina polskiego. — Ornament słońca i gwiazdy sześciopromiennej się rozwija często w przekrój pnia wraz z korą, drzewo bowiem święte w kulcie polskim wielką rolę w czasach przedchrześcijańskich grało... Mnoży się liczba wprawdzie

wykrojów, ilość słońc się powtarza, ale przecież zasadniczym typem jest wciąż na wskróś to samo, co zebrano w całej Polsce z domów wiejskich drewnianych. Czytelnikom daje się więc w rysunku i w opisie sosręby, przechowane dziś w Muzeum przemysłowem, ze zburzonego już domu przy ulicy Grodzickich.— Jeden z nich był już w pobieżnym rysunku odtworzony w pomnikowej książce pana Władysł. Łozińskiego „Sztuka lwowska“, drugi nie był nigdzie oddany w obrazie i w opisie.

Sosręb o jednem słońcu (wiz. I.) ma miejski rodzaj snycerstwa w wypukłorżniętych monogramach Panny Marji i Pana Jezusa. Natomiast drugi większy nosi na sobie wyłącznie wcinanie wgłębne, tak znamionujące zakopiańszczyznę. Ciekawem jest rozwinięcie środkowej gwiazdy (wiz. II.) i rozłożenie jej na szereg drobnych składowych kół sześciopromiennych. Zdobienie to, bogate w szczegółach, trafia się w Zakopanem. Prócz Matlakowskiego ma w swoich zbiorach p. Obmiński, asystent politechniki, podobne a nawet więcej jeszcze rozdrobnione i rozwinięte słońca z cerkwi ruskich zebrane. Również na Pomorzu znalazł Lutzsch takie ozdobienie na zaplecku obrzędowego rodzinnego stołka w izbie ludowej.

Większy sosręb nasz nosi na sobie datę roku 1669 i napis ormiański, jako świadectwo, że właścicielem tego domu był sławetny mieszczanin nacji ormiańskiej.

Niniejszy skromny przyczynek jest więc dalszym dowodem jak silnie polskiem na wskróś jest zdobienie i układ izby chłopa z Podhala, i jak należy wciąż mieć oczy otwarte na odtwarzający się powoli obraz kultury domowej narodowej, tak pięknie w sztuce stosowanej się odbijający.




WIZER. I. — 1. przekrój wypukło-rzeźbionej litery monogramu. — A. B. 2. Przekrój przez obwód gwiazdy, wzdłuż po promieniu aż do jej środka. — CD 3. Przekrój w poprzek promienia wewnętrznego gwiazdy. — 4. Przekrój poprzeczny sosrębu z zaznaczeniem okroju i wypukłości monogramu.
WIZER. II. — 5. Przekrój paska obwodowego środkowej gwiazdy. — 6. Przekrój poprzeczny sosrębu z zaznaczeniem okroju.

Przyczynki podobne zapowiadamy w dalszym ciągu w niniejszem piśmie.

*Kazimierz Mokłowski.*

MAKSYM GORKIJ.

# O pisarzu, który się zapamiętał.

(FANTAZJA.)

Niedobrze jest, kiedy pisarz ma za dużo wielbicieli, niedobrze. Tylko błotnym roślinom nie szkodzi zbytek wilgoci, dębom potrzeba jej w miarę. Opowiadam tutaj o pewnym człowieku z cechu pisarzy, który w drodze do swego celu niespodzianie ugrzązł w bagnie popularności — o tem, jak śmiesznie i niezdarnie się sprawował, nałykawszy się wodorostów pochwał — i co się z nim stało, gdy mu się zakręciło w głowie od mglistych oparów sławy. Był to chłop prostoduszny, ale nie zupełnie głupi i różnił się od kolegów po piórze tem, że zawsze był szczery i dlatego codziennie przeczył sam sobie. Żył w kraju, którego literatura cieszyła się wszechświatową sławą i gdy zaczął potykać się o pierwsze oznaki popularności, oburzył się na nie i pomyślał: „Dziwna rzecz!... trąby im trąbią — nie słyszą, fujarka zaśpiewa — radują się...“ Chłop to nie był skromny, wcale nie! Ale znał swoją wartość, ot w czem rzecz.... I wiedział jeszcze, że w jego kraju rodzinnym niema narodu — jest tylko publiczność i że właśnie publiczność tworzy literacką i inne reputacje, a naród żyje po swojemu, nie dba o pisarzy, wierzy w czarodziejów, przez całe życie pracuje, ale zawsze jest głodny i całą literaturę wraz z innemi ulubionemi przez publiczność sztukami w każdej chwili chętnie odda za worek mąki... Ale chociaż chłop mój dobrze wiedział o tem wszystkiem, jednak był człowiekiem, a przytem wszyscy pisarze — i nawet mądrzy — są to ludzie mniej lub więcej ograniczeni. Zaczął odczuwać, że skupienie uwagi publiczności na jego książkach sprawia mu przyjemność. Zaczął otrzymywać od czytelników pochlebne listy... Jeden czytelnik pisał: „Utalentowany...“ Inny czarno na białem wywodził: „Najszanowniejszy“... Jakaś czytelniczka pisała poprostu ale dosadnie: „Duszko, dziękuję.“ Jak gdyby pisarz podarował jej jedwabiu na bluzkę. A pewien sklepikarz, handlujący książkami przysłał list tej treści:

Szanowny Panie Pisarzu!

Zaciekawiony tem, dlaczego publiczność tak zdrowo kupuje szanowne Pańskie książki, przeczytałem je, i wylały się ze mnie następujące wiersze:

Jak lilje na bagnisku,
W mej duszy zrozpaczonej
Kwitły marzenia i sny
O życiu bez przykrości...
Kwitły, ale nieśmiało,
Kwitły zatem i więdły
I w splotach serca gniły...
I zapach był paskudny...
Lecz wszedłeś w moje serce,
Gorącem swojem słowem,
Iskrami posypałeś
Ciemności mojej duszy.
Namiętnie zapłonąłem,
Poczułem szał odwagi
I teraz dumnie pachnę
Świniną wypieczoną.

Z prawdziwym szacunkiem

*Lita Korszunow.*

I wiele innych rozczulających oznak uwagi otrzymywał mój pisarz od publiczności. A szatan, wierny towarzysz pisarza, podpowiadał mu:

— Nie martw się, głuptasku, przecież to za twoje zasługi, nie martw się! Jesteś teraz dla publiczności tem, czem młoda kochanka dla bezsilnego starca. Ale też nie udawaj skromnego, ponieważ — „karaś lubi, ażeby go smażono w śmietanie“, a pisarz, aby go wędzono w dymie sławy. Cha-cha-cha!...

I oto chłop mój zaczął się powolutku wysuwać na oczy zakochanej w nim publiczności. Patrzy — oni klaszczą. I zaczął się przyzwyczajać do tego hałasu, jak pijak — do wódki i było mu trochę nudno żyć bez oklasków, a jednocześnie zaczął się chłop zapamiętywać.

Razu pewnego w ludnem miejscu tłum publiczności otoczył go, przycisnął do ściany i klaszcząc w dłonie, zachęcająco wykrzykiwał: „Brawwo!... bra-wwo!“ A on stał przed tłumem, uśmiechając się z rozczuleniem, i było mu tak słodko, jak gdyby go w syropie gotowali. Po raz pierwszy widział publiczność z blizka. A w tem zrobiło mu się jakoś nieswojo, a nawet przykro — wydało mu się, że zaraz zaczną go łasko-

tać pod pachami i w głowie jego powstały różne niedorzeczne myśli. Zdawało się, że każdy z tłumu, przypatrując mu się, porównywa w myśli swoje uszy z uszami pisarza, chcąc dokładnie określić, czyje są dłuższe. I chłop mój poczuł, że uszy jego rosną, rosną, dosięgają olbrzymich rozmiarów... A publiczność stoi i wrzeszczy: „Bra-wwo!“ Wówczas w duszy mojego bohatera zapłonęła złowieszcza wątpliwość co do prawa własności do swojej osoby i pomyślał: „Oni uważają mnie za swoją własność i zaraz zaczną bawić się mną jak piłką“... A szatan stał obok niego i złośliwie się uśmiechał: Che-che-che! patrzaj-no, patrz!...

Spojrzał mój biedny chłop i widzi: z dziesiątków wzrósł tłum do setek i ciągle klaszcze. Stoją pośród niego dobrze wychowani potomkowie Judasza Iskarjoty, Ignacego Kramoły i wszystkich zdrajców, stoją sobie i też mu klaszczą. Oczy publiczności jak setki igieł wpiły się w pierś mojego bohatera, a on patrzał zakłopotany na tłum i dostrzegł, że wszystkie twarze zlały się w jedną ogromną, ponurą, niewolniczą twarz bez oczu, a tylko z dwiema mętnemi plamami na ich miejscu i nos na tej twarzy był tak długi, jak trąba słonia.

— Patrz — rzekł szatan, złośliwie chichocąc — przewódcy tłumu wyciągnęli mu nos, ale nie zapalili ognia w sercu i oto jest ślepy! Spojrzyj, jaki on ma język — spojrzyjno!

Przed oczyma mojego bohatera poruszyły się ogromne zmysłowe wargi, odkrywając głęboką czarną jamę; w głębi tej jamy poruszało się jakieś śliskie, krótkie, grube biczysko i zionąc smrodem, wykrzykiwało: „Brawo“. Pisarz w przerażeniu zakrył oczy, czując, że go coś kędyś wysysa. Ale kiedy je odkrył, przed nim stali ludzie, najzwyczajniejsi ludzie stali przed nim murem, twarze się uśmiechały, oczy ich błyszczały zadowoleniem dzieci, które zobaczyły nową zabawkę i wszystko dokoła było proste, zwyczajne. Od tych uśmiechów i pobłażliwych spojrzeń zrobiło się pisarzowi gorąco, strach topniał w jego sercu i zachciało mu się powiedzieć coś publiczności, — coś serdecznego. Westchnął jak mógł najgłębiej i rzekł, przycisnąwszy rękę do swego przelękłego serca:

— Panowie!

— Brawo!

— Tss... cicho! Chce mówić.

— Panowie! — rzekł on — uznanie wasze przyjemnie łaskocze moje serce. Zdaje mi się, że was rozumiem. Gdy byłem małym chłopcem i zdarzało mi się usłyszeć muzykę wojskową, biegłem za nią i mnie również zajmowało, nie tyle sama muzyka, ile to, jak żołnierz, grający na wielkiej trąbie, nadyma policzki... Dziękuję wam, panowie!

— Bra-woo-oo! — krzyknęła publiczność.

— My pana kochamy! — powiedział ktoś głośno.

— Dziękuję! — odrzekł pisarz wzruszony i rozczulony.

— Bra-woo!

— Panowie! — zawołał mój bohater — pomówmy szczerze, od serca.

A szatan, stojąc z tyłu za pisarzem, ciągle się uśmiechał... Sprytny!

— Ja, panowie, wierzę w szczerość waszego stosunku do mnie... Tylko nie rozumiem dobrze, czem wywołałem u was to gorące uczucie. Czasem, wiecie, wydaje mi się, że kochacie mnie za to, iż nie noszę surduta i w moich opowiadaniach używam często słów nieprzyzwoitych; więc myślę sobie, że gdybym się nauczył pisać liryczne wiersze lewą nogą, poświęcilibyście mojej osobie więcej jeszcze uwagi.

— Bra-woo! — huknęła publiczność.

— I widzicie, myślę sobie, że wy jesteście nie prawdziwi czytelnicy, lecz wprost — wielbiciele. Czytelnik wie, że ważny jest nie człowiek, ale duch ludzki i pisarza nie ogląda, jak cielaka o dwóch głowach On go czyta, ale mu nie wierzy. Nad książką sam myśli: „to jest tak, a to nie jest tak“. A namyśliwszy się, robi coś dobrego i potem to dobre nazywa się „historją“, a wy, panowie, nie tworzycie historji, tylko wyprawiacie skandale. I prawdziwych czytelników jest na świecie niewielu, a takich jak wy — ot ilu... Według mojego sumienia muszę wam powiedzieć, że nie mam dla was żadnej sympatji, a tem mniej — szacunku. Koledzy mówili mi, że publiczność powinno się szanować, ale nikt nie mógł objaśnić — za co? Jak myślicie, za co można was szanować?

Pisarz zamilkł, pytająco patrząc na publiczność. Ona też milczała i jak gdyby powlokła się mgłą. Skądciś powiał zimny wiatr.

— Widzicie więc — po długiem milczeniu łagodnie przemówił pisarz — sami nawet nie jesteście w stanie wymyśleć, za co możnaby was było szanować.

Jakiś rudy człowiek otworzył usta i powiedział basem:

— Jesteśmy ludzie...

— Wielu też między wami jest prawdziwych ludzi? Może na tysiąc znajdzie się pięciu takich, którzy gorąco wierzą, że człowiek jest panem i twórcą życia, a jego prawo: swobodnie myśleć, mówić i chodzić — jest świętem prawem; może na tysiąc znajdzie się pięciu zdolnych walczyć za to prawo i bez obawy zginąć w walce za nie. Większość z was to niewolnicy życia albo gwałtowni jego właściciele — a wy wszyscy jesteście łagodni mieszczanie, czasowo pełniący obowiązki rzeczywistych ludzi. To co jest w was z ludzi to tylko zoologiczne — patrzę w wasze mdłe i bojaźliwe oczy i widzę z przerażeniem, jak mało między wami jest śmiałych, jak mało — uczciwych. Ojczyźnie mojej braknie ludzi silnych, a już nadszedł czas, kiedy potrzeba jej bohatera...

(Dok. nast.)

# Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. „Legendy“. Napisał Andrzej Niemojewski; ozdobił Stanisław Dębicki. Lwów. Nakładem H. Altenberga. 1902. — Oto napis na kartce tytułowej książki autora, należącego do plejady najmłodszych poetów polskich. Zarówno jednak z tego najnowszego jego dzieła, jak i z poprzednich wynika, że nie należy on do grupy tych, na których czele stał Przybyszewski. Tworząc równocześnie z nimi, szedł Niemojewski zawsze swoimi własnymi drogami i podczas, kiedy tamci zalewali świat więcej lub mniej poetycznymi reprodukcjami własnych subjektywnych przejść, on patrzył na świat otaczający i z jego wielkiego życia czerpał do swoich utworów treść i natchnienie. W przeciwieństwie też do nich, w najpłomienniejszych swoich wierszach, odznaczał się wybitnie instynktem społecznym, czy to opiewając ogrom pracy i nędzę pracujących, czy też dając wyraz swoim aspiracjom narodowym.

Tę samą cechę noszą także „Legendy“, obejmujące dziesięć opowiadań i przypowieści, odnoszących się do dziejów „Nowego Testamentu“. W krótkiej notatce nie ma miejsca na dokładną charakterystykę indywidualności pisarskiej autora „Legend“, ani też na ich streszczenie. Czytelnicy „Tygodnia“ znajdą zresztą w niniejszym numerze jedną z nich, p. t.: „Skowronek“ i z niej będą się mogli dowiedzieć, jak chwyta i wypracowuje Niemojewski swoje tematy. Dla objaśnienia tylko dodać należy, że nie są one powtórzeniem rzeczy znanych z Piśma św. Nowego Testamentu, lecz zawierają niejako *sit venia verbo* uzupełnienia do nich. Jedne z nich w racjonalistyczny sposób komentują Nowy Testament, n. p.: „Wysłaniec“. Inne, jak „Mailach“ lub „W ostatniej chwili“, opowiadają o ludziach, co otarli się o Chrystusa i o tem, jakie z tego odnieśli korzyści.

Wogóle fabuły „Legend“ zawierając nieznane ogółowi wypadki i osoby, wszędzie dotykają gdzieś szczegółów Pisma św. i oświetlają je. Po za tem, co do wykonania literackiego każda z „Legend“ zawiera opowieść, opartą wprawdzie na szerokiej podstawie podania, ale traktowaną jest psychologicznie.

Do stylu, wynikającego z tych cech charakterystycznych treści i obrobienia literackiego, dostosował się bardzo dobrze p. Dębicki, któremu przypadło w udziale ozdobienie książki. Ryciny same, z których po jednej ma każda „Legenda“, są utrzymane w charakterze biblijnym. Obok prostoty kompozycji i pewnej rozmyślnej naiwności w malarskiem traktowaniu przedstawianych momentów, mają zarówno otoczenie, jak i osoby, w ruchu i wyrazie, bardzo zdecydowany charakter i nastrój. W ten sposób skojarzył Dębicki w rysunkach, podobnie jak Niemojewski w literackiem opracowaniu, szeroką naiwność podania z psychologicznym realizmem momentu. Aby zaś we wszystkiem zaznaczyć charakter tła, z którego rzecz wyszła, wystylizował artysta i inne ozdoby książki. Jest ona pełną listew, winiet, nagłówków i inicjałów, z których

każdy pochodzi w czemś ze starożydowskiego świata, skąd zaczerpnięte zostały tematy do „Legend". Nawet okładka kremowego koloru, przerznięta w podłuż czarnymi lampasami, naśladuje brzeg „tałesu", czyli tzw. „śmiertelnej koszuli", którą żydzi wdziewają na siebie podczas religijnych obrzędów.

Z wyglądem tych ilustracji i ozdób zapoznają się Czytelnicy „Tygodnia" także, gdyż „Skowronka" podajemy razem z jego artystyczną oprawą. — O całości książki dodać tylko należy, że, dzięki tej oprawie, cała drukowana na pięknym, grubym papierze, — czcionkami według przepisu znanego angielskiego malarza, społecznika i pioniera sztuki stosowanej, W. Morrisa — w stylowości swojej przedstawia się nader oryginalnie, a przytem poważnie. Ani w formacie, ani w nadmiernie szerokich marginesach, ani w ozdobach, nie ma tej hypergenjalnej przesady, jaka ma zdobić, a częstokroć szpeci wydania dzieł naszych najmłodszych. *S. W.*.

*

Początki walki słowiańsko-niemieckiej. Napisał J. K. Kochanowski. Warszawa 1901. — W liczbie „Książek dla wszystkich" (warszawskie wydawnictwo popularne) znalazła się broszurka p. J. K. Kochanowskiego, będąca przedrukiem dawniej w „Bibljotece warszawskiej", pomieszczonej pracy tegoż autora. Chwila obecna, a i sama treść broszurki, czynią ją bardzo aktualną, zwłaszcza gdy się zważy, że jest to obszerne i krytyczne omówienie pomnikowej pracy niemieckiego historyka Sommerfelda o germanizacji Pomorza do końca XIII-go wieku. Smutna to karta dziejów zachodniej Słowiańszczyzny, początek niemieckiego zalewu, a zarazem tragedja Polski piastowskiej, która, mimo najpiękniejszych początków, nie zdołała wpływu swego rozszerzyć na Pomorze, co się fatalnie odbiło w całych naszych dziejach późniejszych.

W chwili wystąpienia na widownię dziejową, to jest za czasów Karola Wielkiego, była cała zachodnia Słowiańszczyzna rdzennie słowiańską, zawichrzoną sporami książąt, osłabioną brakiem silnej jedności. W takiej chwili stanęła u jej progu, jak pająk złowrogi, niemiecka marchia północno-wschodnia i począł się pierwszy akt tragedji, ciągnącej się nieprzerwanem pasmem aż do dni dzisiejszych. Pobudki religijne i apostolstwo Niemiec zainaugurowały germanizację tych krain, chciwość teutońska i osławiony *Drang nach Osten* dokonały reszty. Niniejsza broszurka kreśli losy Pomorza zachodniego. Wpływ Polski nie zdołał się tam ugruntować, mimo że królowie polscy, jak Bolesław Krzywousty, dobrze rozumieli jego doniosłość i na pewnych podstawach rozpoczęli cywilizacyjno-chrześcijańską misję na Pomorzu. Podział Polski przeszkodził dalszej działalności w tym kierunku, wpływ duński był krótkotrwały, a gdy Niemcom udało się rozpocząć kolonizację Pomorza na szerszą skalę, los tej krainy był już rozstrzygnięty tak, że zrzeczenie się Pomorza traktatem kaliskim w 1363 r. przez Kazimierza Wielkiego, było tylko sankcją istniejącego już dawniej stanu rzeczy.

W tych ramach obraca się praca p. Kochanowskiego, a szczegóły tam zgromadzone, jakże żywo przypominają ostatnie wypadki. *Fr. Jaw.*

---

CZASOPISMA. Otatni zeszyt (Nr. 9—12) Miesięcznika Pedagogicznego, wychodzącego w Cieszynie, zawiera dokończenie cennej pracy dra Józefa Buzeka: „Ludność Księstwa Cieszyńskiego podług narodowości". Autor na podstawie szczegółowego badania przychodzi do następującego wyniku: Jest rzeczą zupełnie fałszywą, twierdzić na podstawie cyfr spisowych, iż ludność czeska tworzy jedną czwartą lub nawet więcej ludności Księstwa. Ludność słowiańska Księstwa wynosiła w 1880 roku 225.512 osób, w tem osób przynależnych do Czech i Moraw, t. j. Czechów rzeczywistych 11.33, 5·03$^0/_0$, na ludność etnograficznie przejściową wypadało co najwyżej 27.730, 12·29$^0/_0$, na ludność polską co najmniej 186.444, 72·68$^0/_0$, razem 225.512, 100·000$^0/_0$.

Ludność kresową etnograficznie polską zalicza statystyka urzędowa do Czechów, ponieważ ludność ta, a mówiąc wyraźnie, najświatlejsze wśród tej ludności jednostki, na których wzoruje się reszta, same za czeskie się uważają. Czy na zawsze, to jest kwestyą, od roztrzygnienia której zależy przyszłość narodowa zachodnich kresów Księstwa. Nie przesądzając jakości tego rozwoju, zaznaczamy na zakończenie, iż wszystkie czynniki naturalne, w szczególności zaś podkład etnograficzuy, ruch wędrowny i większy przyrost naturalny ludności zdają się rokować żywiołowi polskiemu ostateczne zwycięstwo. Że jednak sama działalność czynników naturalnych w danym wypadku wystarczyć nie może, a przeciwnie potrzebaby ze strony polskiej intenzywnej pracy, zrozumie każdy, co zastanawiał się nad drogami, jakiemi odbywa się narodowe odrodzenie się pewnej ludności.

*

Śpiew z nut w szkole ludowej. W ostatnim numerze „Rodziny i Szkoły" nawołuje p. Juljan Klausek do nauki śpiewu z nut w wyższych klasach szkoły ludowej. Godząc się na śpiew ze słuchu w klasach najniższych, gdzie umysł dziecka niezdolnym jest jeszcze do samodzielności, domaga się p. Klausek nauki śpiewu z nut tam, gdzie umysł dziecięcy, stojący już na wyższym stopniu zdolności do kombinacji, potrafi nauczyć się muzycznego znaczenia nut, a w ślad zatem i wyrażonych nimi fraz i zdań muzycznych. Obok ogólnej pedagogicznej wartości, jaką nauka ta posiada, stawiając na miejsce bębnienia pamięciowego analizę melodji, ma ona także i dlatego wielką wartość, że, dzięki jej, podnieść się mogą pogrążone obecnie w zaniedbaniu wspaniałe ludowe pieśni kościelne.

*

Ostatnie dwa zeszyty Wisły (V. i VI. 1901) mieszczą w sobie cenne przyczynki do poznania ornamentyki ludowej w hafcie, udzielone ze zbiorów znanych p. Udzieli i pny Maryi Stattlerównej, która dała ciekawe wzory wyszywań z okolic Ojcowa. Do budownictwa drewnianego małomiejskiego i wiejskiego nadesłał kilka ciekawych dokumentów artysta malarz, p. Wawrzeniecki.

Pan Olechnowicz streszcza dotychczasowe wyniki w antropologji europejskiej, co do rozmieszczenia

i cech rasy długogłowców, krótkogłowej i śródziemnomorskiej w Europie, włączywszy w to Polskę. P. prof. Karłowicz opracował ciekawą sprawę mitologji pierwotnej Indogermanów, na podstawie materjałów etnicznych.

SZTUKA. Józef Gabowicz, nie znany dotąd bliżej publiczności polskiej rzeźbiarz, wystawił teraz w Tow. Zachęty w Warszawie szereg prac, którymi zdobył sobie od razu uznanie. Są to grupki przedstawiające: jedna matkę tulącą dziecko, druga dziecko karmiące pisklę, trzecia człowieka broniącego się przed płazem itp. We wszystkich tych pracach znać talent już do pewnego stopnia skrystalizowany. W tematach psycholog, obfity w charakterystyce ruchu i wyrazu twarzy, objawia p. Gabowicz w wykonaniu upodobanie do zaokrągleń i subtelnego wykończania dzieł swoich w szczegółach.

P. Gabowicz ma lat 35. Nieznanym był u nas dlatego, że po ukończeniu Akademji petersburskiej, gdzie dostał się na naukę dzięki ofiarności prywatnej pp. Wawawelberga i Bersona, udał się do Paryża i tam dotąd przebywał. Do kraju nic nie przysyłał, aby wystąpić dopiero z pracami już dojrzałymi. Skoro więc tylko, zdaniem własnem i obcem, jak Thomasa i Antokolskiego, osiągnął już pewien stopień dojrzałości, wrócił do kraju, aby wobec niego — jak sam mówi — spłacić dług wdzięczności, pomimo, że w Paryżu nieźle mu się powodziło. Obecnie nosi się p. Gabowicz z myślą wykonania dla Warszawy alegorycznej grupy Szopena.

*

Ochrona sztuki w kościołach. Artysta malarz i rzeźbiarz polski w Petersburgu, Aleksander Borawski poruszył doniosłą sprawę opieki nad zabytkami sztuki kościelnej. — Kto wie o tem, jaką niepowetowaną wsprost szkodę wyrządzają nieraz księża, niszcząc w celach „restauracyjnych“ najpiękniejsze pomniki sztuki przy przebudowie kościołów, ten zrozumie konieczność takiej zorganizowanej opieki znawców nad tem co przeszłość pozostawiła w sztuce. — Pan Borawski projektuje urządzenie dwu ognisk troszczenia się o zabytki: w Warszawie i w Petersburgu pod protektoratami ks. Arcybiskupa warszawskiego i ks. Arcybiskupa Metropolity. Zarząd składałby się z artystów malarzy, rzeźbiarzy, budowniczych, znawców, i miałby obowiązek starania się o fundusze, które by nie tylko służyły na założenie opieki i prowadzenie działalności, ale dawały by możność bezinteresownego odnawiania zabytków.

W projekcie objętem jest też założenie kilku wielkich pracowni artystyczno-restauracyjnych w Warszawie, Petersburgu, w których zespolone siły artystyczne zastąpić by mogły Hausera berlińskiego w odnawianiu dzieł sztuki.

*

W Warszawie wystawiono obecnie tryptyk malarza francuskiego Rochegrossa, którego każde nowe dzieło wywołuje pielgrzymki Francuzów do miejsca wystawienia. Tryptyk przedstawia trzy epizody z miłości króla Salomona do królowej Saby. Znakomite w kolorze i układzie dzieło francuskiego artysty, budzi tu ogólne zainteresowanie.

Drugą, wielce zajmującą wystawą jest zbiór rysunków, akwarel, szkiców i studjów Jana Matejki. Są to w większej części szkice i studja do wielkich obrazów historycznych: „Rzeczypospolitej Babińskiej“, „Kazania Skargi“, „Rejtana“, „Hetmana Żółkiewskiego“, „Świętopełka w Gąsawie“ i innych. Prócz tego znajdują się: dwie wielkie akwarele przedstawiające Ś-go Wacława i Ś-go Florjana, krajobraz „Widok Bebeku w Konstantynopolu“, portrety rodziny mistrza, szkic autoportretu, rysunek, wyobrażający trzech apostołów, dwie „Martwe natury“ i wiele innych.

NOTATKI. Berlińskie pismo „Das literarische Echo“ uczyniło próbę zbadania, który z autorów cieszył się w roku 1901 największą poczytnością i jakie dzieła współczesnego powieściopisarstwa są najwyżej cenione w Niemczech. 65 bibljotek, wypożyczających książki, dało swoje spostrzeżenia. Okazało się, że najwięcej czytanym był: E. Viebig 41 razy, baron Ompteda 38, Henryk Sienkiewicz 28, Ernest Georgy 27, Jakób Wassermann 22, Natalia Erschtruth 18, T. Rosegger 16, Heinz Towote 14, Leo Tołstoj 13, Ernst Wolzogen 13, Jan Kahlenberg 11, Gabriele D'Annunzio 10, Maria Eschenbach 9, Octawe Mirbeau 8, Zola 7 razy, i t. d. Najpoczytniejszemi zaś książkami były: Viebiga „Chleb powszedni“ (32), Omptedy „Eysen“ (27), Georgy'ego „Berlińskie rangi“ (27), Sienkiewicza „Quo vadis“ 26 razy, Wassermanna „Historya młodej Renaty Fuchs“ (22), Ganghofea „Wiejski apostoł“ (13). Jeśli rozważymy, jak niepopularnem jest obecnie imię polskie w Niemczech, to ogromna poczytność Sienkiewicza tembardziej jeszcze rzuca się w oczy, jako wyraz tryumfu rzeczywistego geniusza nad wszelkiemi przeszkodami. Nie dziwić się też należy tej wściekłości, jaką „literackie“ Niemcy przyjęły list Sienkiewicza w sprawie wrzesińskiej, nazywając znienawidzonego polskiego konkurenta w czytelnictwie niemieckiem wierszokletą i t. d. — Z obcokrajowców bowiem najbardziej dzisiaj w Niemczech jest poczytnym nasz Henryk Sienkiewicz.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8